Cena 30 groszy. Opłata pocztowa uiszczona gotówką

# ZACZYN

TYGODNIK

Nr. 13 (18). Warszawa, czwartek dnia 1 kwietnia 1937 r. Rok II.

# BAŁKANIZACJA UNIWERSYTETÓW

Złammy nareszcie sami dla siebie metodę zakłamywania rzeczywistości w sprawie uniwersyteckiej, uprawianą zapomocą półmetod, półśrodków, półsłówek, i całej tej kolekcji plasterków, którymi przykrywa się przed świadomością ogółu niezaprzeczony fakt, że stan całego zagadnienia jest nietylko groźny, zapalny, ale przy utrzymaniu dotychczasowych dróg wręcz niebezpieczny.

Obecne stadium naszego szkolnictwa wyższego przypomina czasy naszej dawnej ideowej czułostkowości w odniesieniu do zagadnienia parlamentaryzmu, a to dopóki Marszałek Piłsudski nie kazał policjantom wyrzucić paru posłów z sali sejmowej, a potym wogóle uciąć głowę całej tej hydrze niedołęstwa, osłanianej zakłamaniem jakiegoś tworu z wyższych rejonów ludzkości. W tym samym stadium znajduje się dzisiaj sprawa funkcjonowania naszych uniwersytetów, przy czym odrazu powiedzmy szczerze i otwarcie, że wszystkie te dotychczasowe środki homeo- i terapeutyczne, stosowane w latach szkolnych 1935/36 i 36/37 *zawiodły na całej linii.* Bez względu bowiem na to że napady na profesorów, ciężkie ranienia ludzi nazywa się kłamliwie „bójkami studenckimi", że pociski wyrywające ściany i nogi nazywa się „petardami" czy „żabkami" i t. d. i t. d. — całe to „uspokajające" zakłamanie wypadków nie usunie faktu kompletnego rozkładu pracy naszych uniwersytetów. Już drugi rok z rzędu żyjemy metodą przepychania pozorów pracy na uniwersytecie od jednej awantury do drugiej. Fikcję normalnego roku szkolnego fabrykuje się przedwczesnymi feriami i chyłkiem a pośpiesznie odbywanymi egzaminami, gdyż w rzeczywistości można się dzisiaj wszystkim zajmować na uniwersytetach, tylko nie uprawianiem nauki, a nawet chociażby egzekwowaniem pewnego poważniejszego zasobu wiadomości u słuchaczy. Przeszliśmy już w życiu polskim przez okres ludzi niedokształconych wskutek stosunków powojennych, wskutek prac i walki dla najszlachetniejszych celów państwa, a dziś przy cichej aprobacie wszystkich fabrykujemy nowe pokolenie niedokształcone pod każdym względem, ale już tylko wskutek karygodnej tolerancji i czułostkowości wobec przejawów rozkładowych. Cała przy tym ta zabawa w utrzymywanie pozornego funkcjonowania naszych wyższych szkół kosztuje za cenę niedokształcania i wydawania dyplomów — dziesiątki milionów w okresie, gdy państwo zmuszone jest niejednokrotnie oszczędzać setki tysięcy. Powód tkwi w tym prostym fakcie, że pod wpływem terroru wykonywanego przez pseudo-intelekt i pod pretekstem autonomii, odbywa się stale karygodne widowisko nierządu i rozkładu, które już przyniosło fatalne rezultaty, a stać się musi groźnym objawem dla całego państwa, gdy potrwa nadal, względnie gdy będzie nadal podtrzymywane w obecnym zapalnym stanie, pokrywanym zakłamywaniem w prasie i opinii faktycznego stanu rzeczy.

Zróbmy bezwzględnie szczery bilans. Wychowanie młodzieży naszej w sensie wytworzenia z niej elementu twórczego kolaborującego na wszystkich drogach wewnętrznego wzmacniania i uspakajania Polski, *nie udało się.* Jakiekolwiek zestawianie przejawów dzisiejszego życia uniwersyteckiego z działaniami polskiej młodzieży w okresie rozbiorów, jest wprowadzaniem w błąd szerokiej opinii, gdyż niepodobna działań młodzieży narodu bezpaństwowego, która miała ideowy obowiązek, by być czołową kohortą w walce o niepodległość, — zestawiać z awanturami młodzieży polskiej we własnym państwie. Czas już po kilkunastu latach niepodległości, by ogół, nawet wstępującej w życie młodzieży, zrozumiał, że co innego jest naród bezpaństwowy, walczący o niepodległość, a co innego naród, posiadajcy własne państwo, i obowiązek twórczego porządku i postępu. Poza tym ani jeden szczegół z dawnych bójek i walk młodzieży uniwersyteckiej Polski w czasach rozbiorów, nie ma w swym charakterze, a zwłaszcza w swym odnoszeniu się do własnych polskich profesorów nic wspólnego z akulturalnymi popisami czasów ostatnich.

Mamy w dzisiejszej naszej sytuacji uniwersyteckiej szereg elementów które nie dają się skoordynować ze sobą w żaden sposób, jak to rzeczywistość z dnia na dzień potwierdza. Po pierwsze zasady autonomicznej, austriacko-niemiecko-bałkańskiej organizacji, które wytwarzają absurd bezustannych bójek i niepokojów, przy których normalna władza państwowa nie ma prawa interweniować. Wszystkie państwa dbające o porządek wewnętrzny ten absurd autonomiczny, uniemożliwiający nietylko jakąkolwiek wolność nauki, ale wogóle jakąkolwiek pracę naukową, dawno zlikwidowały, dbając o swój wewnętrzny porządek. W Niemczech odbyło się to już dawno nietylko przez organizację młodzieży, ale przede wszystkim przez reorganizację ciała profesorskiego w myśl nadużywanej zresztą zasady, że uniwersytety mają regime'owi hitlerowskiemu pomagać, a nie jego funkcjonowanie utrudniać. Charakterystyczniejszym jednak o wiele jest przykład Austrii, na której wzorowany jest nasz system uniwersytecki. Przyjęła go Austria powojenna, jako rozkładowy spadek po Austro-Węgrzech i przeszła na uniwersytecie wiedeńskim przez wszystkie te same chorobowe objawy, które w stanie chronicznym występują od lat w Polsce. Chrześcijańsko-społeczni jednak widząc, że w dalszym ciągu ta bałkańska autonomia uniwersytetu wiedeńskiego grozi rozkładem całego życia państwowego, zlikwidowali energicznie poprzednie zwyczaje, wprowadzili policję uniwersytecką. Profesorów, którzy tej „autonomii" używali do wprowadzania systemu hitlerowskiego w Austrii, usunięto od wszelkiej możliwości działania, podczas gdy u nas regulowanie tych spraw wyższego szkolnictwa powierzono właśnie zwolennikom tej faktycznej bałkanizacji uniwersytetów. Nie chcemy być źle zrozumianymi! Od doświadczeń z Wyższą Szkołą Handlową i po fakcie zrobienia porządku za pomocą policji, mamy wreszcie w Polsce do czynienia co prawdą tylko z czułostkowymi próbami opanowania tego obecnego rozstroju życia uniwersyteckiego. *Przyszły one jednak conajmniej o rok jeśli nie o półtora za późno.* Jeśli bowiem ktoś łudził się, że takimi czy innymi pertraktacjami osiągnie rezultaty, to złożył tym na dzisiaj dowód, że sytuację oceniał z gruntu fałszywie. Wina leży zarówno w informatorach, czy referentach ministerialnych, jak w fikcyjnych zapewnieniach naszych rektorów, że opanują te zapędy, do których opanowania nie mają żadnych środków ani w ogóle możliwości.

Przejdźmy teraz do zagadnienia organizacji władz uniwersyteckich: Obserwacja wszystkiego tego co dzieje się od lat na naszych uniwersytetach przekonywuje, że obecne władze uniwersyteckie: rektorzy, dziekani i senat przypominają słynną komedię E. Rostanda o kogucie Chanteclairze, który wyobrażał sobie, że słońce dlatego wstaje na horyzoncie, ponieważ on właśnie pieje. Dawno jednak odbyła się już tragikomedia chanteclaira, a mianowicie zapiał raz w godzinie, którą on uznał za stosowną — i słońce ani rusz nie wypłynęło na firmament niebieski! Zarządzenia naszych władz uniwersyteckich to tragikomedia chanteclaira! Gdy rektor daje pozwolenie na wiec, to znajduje entuzjastyczny posłuch, gdy odmawia, wiec odbywa się nielegalnie. Gdy prezyduje na zebraniach O. N. R. to „Magnificencia" wchodzi z paradą na salę, ale gdy urządza inaugurację lub doktorat honorowy dla obcego ministra, to nie można młodzieży wpuszczać na uniwersytet, bo

**TREŚĆ NUMERU:**

czasem nawet wobec Pana Prezydenta zacznie ta młodzież śpiewać — wbrew protokółowi. Gdy rektor zawiesza wykłady to znajduje posłuch, bo oczywiście profesorowie nie przychodzą, ale gdy je nanowo otwiera, to jedni drugich biją po głowie, a przeciw „Magnificencji" odbywają się demonstracje, przed którymi go bronią woźni. Na uniwersytecie podobno również obowiązuje wolność nauczania, która działa, o ile najmniej wykształconej części młodzieży i jej przywódcom, nie znającym nieraz nawet paru faktów z historii i literatury, tego rodzaju wolność nauki odpowiada. W przeciwnym wypadku młodzież demonstruje i uchwala, że profesor X czy Y wykłada literaturę polską w duchu niewłaściwym. Dajmy bowiem spokój fikcji, że przy dzisiejszym stanie życia uniwersyteckiego może mieć miejsce jakaś „wolność nauczania", i że profesorowi uniwersytetu naprawdę wolno wyrazić z katedry pogląd, który nie odpowiada paru niedokształconym głupcom. Niedawno temu jeszcze w Wiedniu „wolność nauczania" polegała na tym, że profesor zamykał się u siebie w seminarium, albo częściej w domu z kilku uczniami, by wykładać swój przedmiot. Na Uniwersytecie Warszawskim nawet to nie pomaga, gdyż studenci wyłamują bezkarnie w praworządnej Rzplitej drzwi i ciskają w profesorów spluwaczkami. Biada zaś temu profesorowi, któryby przy tej autonomicznej fikcji wolności nauki odważył się publicznie mówić to, co o tym wszystkim naprawdę sądzi. Na sali wykładowej jest on steroryzowany przez bojówkę, na posiedzeniu uniwersyteckim przez kilku krzykaczy profesorskich, wykładających o potrzebie „współżycia" z młodzieżą polską. W rezultacie nie jest na tyle naiwny, aby mówieniem prawdy — obok trudności z młodzieżą — powiększać sobie jeszcze trudności z kolegami — profesorami. W rezultacie olbrzymia większość profesorów krytykuje po kątach ten stan życia uniwersyteckiego, naruszający nawet zasadę *osobistego bezpieczeństwa*, ale nikt nie odważa się wystąpić z żądaniem usunięcia tych wszystkich protektorów i inspiratorów uniwersyteckich, gdyż to by było naruszeniem tej autonomii, której zresztą i tak nie ma. *Autonomia bowiem to prawo*, a tymczasem od półtora roku życie uniwersyteckie naszych wyższych uczelni normuje kij zapatrzony w żyletkę, przyczym wszyscy uważają za stosowne twierdzić, że się właściwie nic nie stało.

Powiedzmy więc całą prawdę! *Mamy na uniwersytetach sytuacje bałkańskie* z tą różnicą, że Bałkan osławiony ongiś w całej Europie z swego mieszania się młodzieży przez awantury do polityki swych państw, dawno się pod tym względem zabrał do energicznych porządków. Grzech zaś nie do darowania z naszej strony w tych sprawach polega na tym, że u nas elementem awanturującym się i niszczącym całe życie uniwersyteckie jest *mały procent młodzieży*, podczas gdy w sytuacjach bałkańskich awanturowała się z zasady olbrzymia większość. Np. ostatnio rektor politechniki bukaresztenskiej skwalifikował u siebie 80% młodzieży na usunięcie ze szkoły z powodu całego szeregu braków, u nas natomiast chodzi wszędzie o mały procent. Trudność jednak polegałaby raczej na tym, że rektor np. właśnie przewodniczył na zebraniach organizowanych przez tych, których należałoby właśnie usunąć.

Jesteśmy bowiem w ślepej ulicy w tej całej sprawie, tak samo jak byliśmy swego czasu przy zagadnieniu parlamentaryzmu. Tak jak ongiś władza uciekła z parlamentu wskutek absurdalności konwetykli i kompromisów, tak dzisiaj uciekła już dawno nauka i naukowość z naszych wyższych uczelni. Pozostał jednak kosztowny aparat, wysilający się odbywaniem egzaminów i „feriami" na wytwarzanie fikcyjnych pozorów normalnego działania naszych szkół. Profesorowie z miną chanteclairów i na efekt tej ulicy i bojówek uniwersyteckich twierdzą, że „wolą berło rektorskie niż pałkę policjanta", jak kolwiek to berło rektorskie nie osłania nawet całości głowy Jego Magnificencji, chronionej przez woźnych. Najszkodliwsze elementy garstki dla celów antyrządowych organizowanej młodzieży terroryzują wszystkich, a natomiast młodzież pragnąca pracować nie może w ogóle dojść do głosu, gdyż wszystkie instytucje, reprezentujące młodzież zostały opanowane przy poparciu profesorów przez agitację destruktywną, która zawsze wobec fałszywego kierunku przygotowania przez szkołę średnią będzie miała górę w sposobach wpływania i propagowania swych haseł. Za granicą bez ceremonii *każda instytucja młodzieżowa* nie spełniająca swej roli, porządku i wzorowego funkcjonowania według życzeń starszych, *zostaje rozwiązana*, nawet jeśli dochodzi stu lat egzystencji, a nie jest tylko tworem politycznym ostatnich lat jak u nas. Domy akademickie poczynają spełniać swą rolę, jak wiemy o tym z przykładu Warszawy dopiero za cenę usunięcia elementu młodzieży politykującej, w przeciwnym wypadku tak, jak we Lwowie nawet nie mają światła elektrycznego, chociaż rzekomo młodzież tam mieszka „celem studiowania"?! Możnaby zaś takimi przykładami sypać bez końca!

*Stoimy bowiem przed niewątpliwym bankructwem całego systemu* homeo- i terapeutycznego w stosunku do autonomii uniwersyteckiej i zagadnienia młodzieżowego. Nie tylko państwo o systemie autorytatywnym, ale wszystkie państwa Europy łącznie z Bałkanem, kóre chcą normalnie rozwijać się i utrzymywać wewnętrzny porządek, uregulowały u siebie zagadnienie uniwersyteckie w sposób zadawalniający, zarówno przez organizację uniwersytetów, jak i młodzieży. Wszystkie opinie wszystkich senatów i t. d. nie mogą uchodzić za miarodajne, ponieważ wszystkie stamtąd wychodzące propozycje i inspiracje okazały się w ciągu ostatnich 10-ciu lat niepraktyczne, bezcelowe i *nieprowadzące* do unormowania zagadnienia. Powód oczywiście nie leży w tym, jakoby olbrzymi procent profesorów wyższych uczelni, a nawet większość niejednego zespołu nie zdawała sobie sprawy z dróg właściwych do rozwiązania zagadnienia uniwersyteckiego. Tkwi bowiem cały powód tylko w fakcie terroryzowania przez profesorów szermujących frazeologią t. zw. „autonomiczną" i t. zw. „narodową" tych wszystkich innych kolegów, którzy zdają sobie dobrze sprawę że na dotychczasowych „konikach uniwersyteckich" można dojechać nietylko do bezcelowego wyrzucania dziesiątków milionów przez okno, ale także do dalszego systematycznego cofania się poziomu intelektualnego Polski, Nigdy nam bowiem nie wolno zapominać, jakie rujnujące państwo szkody wyrządziły dawnej Polsce autonomiczne akademie wileńska i krakowska, jak nie wspomnieć zasług tych światłych umysłów, które odważyły się rozbić wówczas pięścią to całe zakłamanie profesorsko-żakowskie dawnych naszych wyższych uczelni.

Ostatni bowiem czas by zerwać z tą fałszywą homeo-terapią, z tym zakłamaniem i zamykaniem oczu na rzeczywistość, w miejsce powiedzenia sobie otwarcie, żeśmy *zagadnienia wychowania państwowego nie rozwiązali*, a natomiast znaleźliśmy się w ślepej ulicy, która już oddawna wymaga cięć, ale operacyjnych!

# Z ZAKRESU METODOLOGII MYŚLENIA PAŃSTWOWEGO*)

## REALIZACJONIZM A JEDNOSTKA

Światopogląd realizacjonizmu wysuwa na pierwszy plan twórczość zarówno w dziedzinie stawiania zagadnień jak i środków ich realizacji. Na drugim planie stawia realizacjonizm umiejętność użytkowania teorii rozpoznawania typów zagadnień.

Na trzecim planie zjawia się sprawa osobowości, jednostki ludzkiej, która „umie" i „działa", t. j. przejmuje dorobek kultury (wiedzę) i realizuje zadania niejako swoją osobą, swoim umysłem, wolą, wyobraźnią, uzdolnieniami, i co najważniejsza swoją twórczością na wszystkich polach teorii i akcji.

Dalej już idą oceny realizacji, automatyzmy działań, narzucane przez wychowanie i ośrodki kulturalne, i wiele innych spraw, związanych z całokształtem danej kultury, czy też wytwarzaniem tej czy innej „rzeczywistości".

W niniejszym artykule chcielibyśmy zatrzymać uwagę czytelnika na zagadnieniach, związanych z działaniem z pracą umysłową pojedyńczych osobników ludzkich, a mianowicie na wartości czynnika emocjonalnego w realizowaniu zamierzeń czy planów w skali państwowej.

Jak zwykle podkreślamy zakres zainteresowań państwowych, gdyż inna jest hierarchia zagadnień naprzykład w sztuce, ina — przy odmiennych zakresach zainteresowań.

Otóż realizacjonizm w zastosowaniu do spraw państwowych wysuwa żądanie **dużej ścisłości** w realizacji, a to usuwa na margines wiele, a może przeważającą część teorii, które stworzyła w tej dziedzinie kultura XIX wieku, jak wiadomo nastawiona na „indywidualizm", co było omówione już niejednokrotnie w „Zaczynie" (patrz Nr. 4 — 5).

Zajmiemy się tedy rolą jednostki ludzkiej, jaką wyznacza jej realizacjonizm w wykonywaniu planów, zamierzeń czy konieczności państwowych, a więc spraw ściślych z metodologicznego punktu widzenia.

W tym znaczeniu jednostka ludzka wyobraża narzędzie odpowiednie do wykonania określonych funkcyj państwowych. Z drugiej strony samo pojęcie jednostki ludzkiej narzuca świadomość emocjonalną, gdyż bez niej operowalibyśmy uniwersalistycznie funkcjami, a nie żywymi jednostkami.

Ta „sprzeczność" pomiędzy ścisłością metodologiczną spełnianej funkcji a mglistością i nieuchwytnością jednostki czującej stanowiła oś zagadnień, wysuwanych na plan pierwszy w kulturze XIX wieku.

Z jednej strony bowiem niebywały rozwój nauk przyrodniczych i techniki, który znamionuje kulturę dziś odchodzącą w przeszłość, zaważył na stopniu ścisłości w realizacji zagadnień, z drugiej światopoglądy panujące w XIX w., oparte o metafizykę Kanta, wysuwały na plan pierwszy zagadnienia indywidualistyczne.

Coprawda, socjalizm wysunął sprawę pracy zespołowej, jako odpowiednik fabryki, na forum zagadnień ważnych, lecz nie rozumiał, a raczej przekreślał możliwość **twórczości zespołowej**, gdyż opierał się o światopogląd mechanistyczny (materializm dziejowy). Nie umiał tedy socjalizm ani rozwiązać ani przeciwstawić się teoretycznie tej sprzeczności między uniwersalizmem naukowo-technicznym a indywidualizmem jednostkowym.

*) patrz Nr. 11 (16) „Zaczynu".

Sprzeczność ta nie istnieje teoretycznie w ramach światopoglądu realizacjonistycznego, wywodzącego się z metafizyki twórczości.

Realizacjonizm jednakowo dobrze może operować twórczością ludzką jak i twórczością przyrody, twórczością jednostkową, jak twórczością zespołową, gdyż wszystkie te typy twórczości mogą spełniać bądź funkcje planistyczne bądź realizatorskie.

Sprawa tedy rozbieżności pomiędzy ścisłością wykonywania funkcyj a nieuchwytnością emocjonalną, towarzyszącą realizacji, sprowadza się w ramach realizacjonizmu do dwóch odmiennych zakresów zagadnień, z których każdy korzysta dla realizacji z innych teorii, nie związanych ze sobą żadną wewnętrzną więzią, żadnym przymusem teoriopoznawczym.

Funkcja — funkcją, a odczuwanie, przeżycia, czy inne zjawiska emocjonalne — idą swoimi torami. Związek pomiędzy nimi pozostaje tylko zewnętrzny, że tak powiemy, lokalny, a nie teoriopoznawczy. Oba odnoszą się do tej samej fizycznej jednostki, określonej w czasie i przestrzeni.

Państwo zainteresowane jest oczywiście w realizacji funkcyj państwowych. Ideałem był by osobnik, zamieniony bez reszty w odpowiedni automat (patrz: „Automatyzm" — Nr. 9 (14) „Zaczynu"). Taki automat otrzymuje się przez odpowiednie wychowanie. Wychowanie zaś musi się liczyć ze stroną emocjonalną człowieka.

Stąd związek pomiędzy spełnianiem funkcyj a poczuciem człowieka **sprowadza się dla realizacjonizmu do zagadnienia pedagogicznego**, czyli do zagadnienia, w jaki sposób wyzyskać świadomość i reakcje emocjonalne w wychowywaniu, aby osiągnąć najlepsze narzędzie ludzkie dla określonych funkcyj państwowych (względnie innych).

Znaczenie wychowawcze struktury emocjonalnej w ludziach nie kończy się, oczywiscie, na szkole ani na wieku młodocianym, choć maleje ono naogół z wiekiem. Szkoła, wojsko, pierwsze kroki w zawodzie wyciskają naogół niezatarte piętno na jednostce ludzkiej, mówiąc językiem metodologicznym, przyczyniają się w największym stopniu do stwarzania typu i jakości automatów ludzkich.

Im wyższy jest jednak stopień kultury ogólnej i funkcji specjalnej, do której jednostka jest przeznaczona, tym wiek „nauki", wiek „plastyczności" pedagogicznej przedłuża się.

Parobek, czy robotnik niewykwalifikowany „urobiony" już jest za młodu, z wiekiem raczej traci, niż zyskuje na swej wartości funkcyjnej. Robotnik wykwalifikowany, a tym bardziej majster wymagają już dziesiątka conajmniej lat „wychowania" fachowego.

W zawodach wyzwolonych (lekarz, adwokat, inżynier, literat) czas „nauki" trwa minimum lat 20, a dla uczonych i teoretyków — jeszcze dłużej, nieraz nieprzerwanie przez cały czas działalności.

Twórcy z reguły nie przestają się „douczać", chroni ich to od zgrania się w określonym automatyzmie, co jest losem mniej twórczych jednostek ludzkich. Rodzaj i wartość automatów ludzkich, wysokość funkcyj które reprezentują, lub możność sięgania po wyższe stopnie funkcyjne, zależne są w pierwszym rzędzie od możliwości wychowawczych państwa, w drugim — od uzdolnień poszczególnych jednostek.

Gdzie nie ma laboratoriów i odpowiednich warsztatów — nie można wychować chemika czy majstra; to też Japonia wysyłała swoją zdolną młodzież do Europy po naukę. Braki w wyższym szkolnictwie czy technice Rosja bolszewicka starała się zastąpić sprowadzeniem „speców" zagranicznych. **Żadne „emocjonalne" napięcie czy to woli, czy wyobraźni, czy uczucia patriotycznego, nie podniesie skali tych „możliwości wychowawczych" państwa.**

Za to nie wolno winić żadnego z „wychowywanych". Lecz źle jest, gdy ci, co nie mogli osiągnąć szczytów funkcjonalnych, uważają, że z „braku winy" mają prawo spełniać funkcje wyższe ponad ich przygotowanie. Tutaj nawet najlepsze podejście uczuciowe nie pomoże, a może wiele zaszkodzić w tworzeniu planu państwowego, czy jego realizowaniu. Natomiast, gdy laboratoria i warsztaty stoją na odpowiednio wysokim poziomie, wysuwają się na czoło zagadnienia selekcji według uzdolnień indywidualnych, gdyż od tej selekcji zależy możność dostarczenia państwu niezbędnych funkcjonariuszy wyższego i średniego poziomu.

A więc — najprzód dobór wychowanków, a wszystko na tle „planu", który wykreśla kierunek i hierarchię zagadnień państwowych i środków realizacji.

Uzdolnieniami jednostkowymi w świetle realizacjonizmu będzie sprawność umysłowa i fizyczna, wytrwałość i pamięć, skłonności emocjonalne do przyswajania sobie tych czy innych zdobyczy kultury, lub podatność do urobienia automatycznego; **ponad wszystko zaś — twórcze możliwości jednostek.**

Te ostatnie, nie zbyt znów rzadkie, są naogół tłumione w dzisiejszych szkołach zarówno średnich, jak wyższych. To też w dobrze przemyślanym systemie wychowawczym te braki muszą być usunięte. Nowa kultura musi stworzyć nowe typy szkolenia i wychowania, czego zaczątki widzimy tu i owdzie w państwach dynamicznych.

Realizacjonizm stawia określone wymagania wychowaniu i szkoleniu, gdyż wyraźnie precyzuje zadania wychowawcze przez funkcje, które mają spełniać wychowankowie. Funkcje w każdej kulturze i w każdym państwie są wyznaczone przez określone plany i zamierzenia.

Realizacja zamierzeń w **dotychczasowych poglądach jest ograniczona** do zakresów, wyznaczonych z zewnątrz, do „możliwości realizatorskich" danego społeczeństwa; według **realizacjonizmu możliwości realizatorskie rosną razem z twórczością** na wszystkich polach (szczególnie przez nowe teorie i zdobycze wiedzy).

Jedną z najbardziej ważnych zdobyczy kultury będzie oparcie się nie na twórczości indywidualnej, lecz zespołowej. Nie oznacza to sumowania poszczególnych zdobyczy twórczych, jak to dziś pojmuje się w stosunku do wiedzy, czy sztuki, lecz zgoła inne podejście, połączone z oderwaniem się od osobowości, z **depersonifikacją.**

Zespołowa praca w wielkich zakładach przemysłowych lub w armii wyżłobiła już podstawy umysłowe dla wyobrażenia **pracy zdepersonifikowanej.** Lecz co do **twórczości,** — do dziś nikt nie wyobraża sobie możliwości **zespołu twórczego.** Zespołowa twórczość wydaje się horrendum. Na przeszkodzie stoi właśnie owa struktura emocjonalna, która nakazuje widzieć w twórczości akty czegoś indywidualnie odrębnego od innych działań ludzkich.

I znów jest to postawienie zagadnienia, wynikłe z dotychczasowych światopoglądów, które wysuwały na pierwszy plan zagadnienia indywidualne a więc emocjonalne.

Dla realizacjonizmu nie ma żadnych przeszkód do postawienia zagadnienia twórczości zespołowej, obliczonej na stworzenie nowych teorii, bądź innych środków realizacji. Sprawy zaś, związane ze świadomością uczuciową, przerzuca się do innego zakresu zagadnień, które nazwiemy w najszerszym tego słowa znaczeniu — sztuką.

Oczywiście przy koncepcji twórczości zespołowej i „sztuka", a raczej teorie sztuki, musi również zmienić się, a raczej otwiera się pole dla nowej twórczości w dziedzinie sztuki.

Czy i tutaj nie da się zastosować depersonifikacji? Czy i sztuka nie straci charakteru dłubania w przeżyciach jednostkowych?

Realizacjonizm i tutaj nie stawia żadnych przeszkód, nie tworzy ram ani nakazów dla twórczości. To też żadna wizja ani naukowa, ani estetyczna nie znajdzie w realizacjonizmie sprzeciwu, byleby naprawdę dążyła do... zrealizowania, a nie do... bezpłodnego marzycielstwa.

Stosunek realizacjonizmu do jednostki i jej uzdolnień twórczych streszcza się w nakazie **realizowania zagadnień.**

Tym samym realizacjonizm jest wrogiem wszelkiego zastoju, bierności, oportunizmu, jednym słowem, marazmu; pobudza on kulturę a z nią i jednostki ludzkie do nowych poczynań, do nowych osiągnięć, do ciągłej, ciągłej twórczości — na wszystkich polach osiągnięć kulturalnych, — w sprawach państwowych zaś — do ciągłego narastania mocy państwowej. (11).

# Ś. P. KAROL SZYMANOWSKI

W niedzielę wielkanocną zmarł w Lozannie Karol Szymanowski. Muzyka polska traci w nim swego naczelnego przedstawiciela i czołowego kompozytora, — wielkiego odnowiciela. Niezaprzeczone było jego — od lat prawie trzydziestu — stanowisko przodujące wśród kompozytorów polskich, a mir jaki zdobyła sobie muzyka Karola Szymanowskiego w świecie, streszczał się w przyznawaniu mu powszechnie miejsca wśród naczelnych pionierów nowej muzyki. Kompozycje Karola Szymanowskiego stale wykonują sceny i estrady zagraniczne, a choćby balet Szymanowskiego „Harnasie" wykonany w roku ubiegłym na scenie Opery paryskiej, zyskał tam gorące uznanie fachowej prasy, a powodzenie polskiego dzieła w Paryżu odbiło się szerokim echem w całym świecie muzycznym. W najbliższym czasie Artur Rodziński na koncercie symfonicznym w Cleveland (Ohio) poprowadzi pierwsze, w Ameryce, wykonanie „Harnasi" z chórem — śpiewającym po polsku! Niewątpliwie dzieło rozpocznie teraz swój objazd triumfalny.

Niestety, teraz zabrzmi na drugiej półkuli, już pod znakiem żałoby, — *in memoriam* wielkiego kompozytora polskiego!

Karol Szymanowski urodził się w roku 1883-ym w rodzinnym majątku Tymoszówce na Ukrainie. Jego rodzinny dom był przesiąknięty kulturą i subtelną atmosferą muzyczną. W r. 1902-ym studiuje Szymanowski harmonię w Warszawie u Marka Zawirskiego, następnie kontrapunkt u Zygmunta Noskowskiego. Sztukę orkiestracji osiąga Szymanowski już raczej drogą praktyki kompozytorskiej i przez ustawiczne studium dzieł obcych. W r. 1905-m wydaje Szymanowski swój pierwszy zeszyt kompozycyj. Są to fortepianowe Preludia. Nie ulegało wątpliwości, że tu rozpoczyna się działanie wyraźnej indywidualności kompozytorskiej, bogatej, młodej ale już ciekawie skrystalizowanej. Niektóre Preludia były pisane jeszcze w duchu romantycznym, inne były szkicami, zapowiadały poszukiwania nowego stylu i nowego wyrazu. Wbrew kierunkowi epoki, która lubowała się w muzyce literackiej i programowej, Szymanowski uprawiał formy muzyki nieopisowej.

Wydaje w tym czasie pieśni, utwory fortepianowe. W pieśniach, do słów Berenta, Tetmajera, Micińskiego — już w samym wyborze poetów zaznacza się pewien związek Szymanowskiego z Młodą Polską. Ale większe znaczenie mają dzieła instrumentalne tego okresu, jak: dwa dzieła wariacyjne i sonata na fortepian, sonata skrzypcowa, wreszcie koncertowa uwertura. Unika w tym okresie Szymanowski fol-

kloru, twórczość jego jest stylizowana, wybredna, arystokratyczna.

Ale romantyk, intymista, dyskretny liryk — Szymanowski przecie siłą woli zwalcza w sobie te cechy swej psychiki. Z niesłychaną ambicją, pracą, nakładem ogromnego przemysłu i artystycznej inteligencji zmierza do kompozycji orkiestrowej, do symfonii i opery, do pomnikowości i patosu w wielkim stylu. Toteż drugi okres stylistyczny Szymanowskiego cechuje niezmiernie wypracowana bogata technika, nieraz wręcz styliczny barok. A coraz bardziej ta technika sięga tematów egzotycznych i nastrojów „kosmicznych". Opery „Hagit" i „Król Roger", cykl pieśni „Muezzin Szalony" wreszcie trzecia symfonia są owiane „klimatem" mistyki i sugestywnością wschodniej fantastyki. Nuta impresjonistyczna znaczy dzieła tej epoki jak: pierwszy koncert skrzypcowy, fortepianowe „Metopy" i skrzypcowe „Mity", utwory, w których alchemia dźwiękowa Szymanowskiego dochodzi do sztuki przedziwnej i oryginalnej. Tematy i linie melodyjne, pozornie niezorganizowane wirem krążą wokoło harmonicznego „klimatu", powstają miraże rzadkiego piękna, nadchodzą chwile osobliwe...

Nie ma techniki kompozytorskiej, któraby nie interesowała Karola Szymanowskiego. Wytworny mistrz harmonii nowoczesnej dochodzi niekiedy w swym ferworze eksperymentatorskim do granic harmonicznych możliwości i pisze przygodnie kilka utworów atonalnych, jak: trzecią sonatę fortepianową, cykl fortepianowy „Maski". W tych dziełach śmiałość stylu harmonicznego, łagodzi poczucie formy i zawsze umiejętnie rozplanowana dyspozycja. Walcząc o nowy styl muzyki, o odnowę muzyki polskiej, na wielu zygzakach i meandrach swej twórczości, przy śmiałych odskokach od szablonu, ten artysta nieustępliwie bezkompromisowy, wszędzie znajdywał piękno i wartości twórcze. Wyjście z okresu walki o styl znaczą u Szymanowskiego dzieła jego ostatnich lat, dzieła, w których muzyka jego zbliża się coraz bardziej do polskiej ludowości.

Zbliżenie się Karola Szymanowskiego do muzyki tatrzańskiej nie mogło odbyć się w sposób banalny Nie było nagłym odkryciem „wyspy folklorystycznej". W poprzednich okresach Szymanowski nieraz pisał dzieła w duchu „lechickim". Teraz zstąpił w tatrzańską realność. Ale bynajmniej nie zapomniał, jakie dialogi prowadził z głębią nocy, kiedy przebywał na samotnych szczytach swych wizyj kosmicznych. I znowu wysiłkiem woli nagiął swój nastrojowy subiektywizm do nowych zadań. Cytata folklorystyczna, kokietowanie ludową nutą i powiewanie pawim piórkiem swojszczyzny — to nie mogły być środki stylistyczne na miarę Szymanowskiego. Toteż „Harnasie" są szeroko założonym rapsodycznym freskiem, w którym ostatecznie zdobyta realność znaczy się — ekstazą! Długoletni wysiłek symfonisty doszedł tu do szczytu, szczyt przybrał kształt pomnika...

I tak, poprzez odkrywanie własnego talentu, poprzez kryzysy muzyki powojennej, znalazł Szymanowski drogę do szczytów. A nie była to nigdy droga daremna, na każdym kroku mógł Szymanowski dawać twórcze impulsy, zachęcać młodzież muzyczną do artystycznej postawy. Często publiczność, a nawet muzycy nie rozumieli, że pozornie bezplanowymi zygzakami swej działalności Szymanowski przygotowywał teren dla zmienionych i nowych pojęć muzycznych, że, stroniąc od taniej popularności, przykładem swym oddziaływa silnie na inteligentną młodzież muzyczną, że budzi zapał i jej zainteresowanie najwewnętrzniejszymi sprawami sztuki.

Dziełem swego życia głosił Szymanowski arystokratyzm sztuki i jej prawo do wiecznego odradzania swych form. W świecie muzycznym reprezentował żywość i artystyczność polskiej muzyki. Wcześnie odszedł ten wielki artysta, który własną sławą łączył Polskę z nieśmiertelnością światowej kultury. (16)

# KTO I JAK RZĄDZI MYŚLAMI MILIONÓW?*)

## II. SENS WSPÓŁCZESNEJ PROPAGANDY

### LABIRYNT SZAREGO CZŁOWIEKA

Brzozowski porównał (w „Legendzie Młodej Polski") cywilizację współczesną do ogromnej maszyny, zbudowanej przez ludzi, nad którą stracili oni panowanie; kręci się jak oszalała, łomocąc tysiącem żelaznych ramion po głowach. Dodajmy: po głowach niegdyś twórców, dziś — niewolników.

Od śmierci Brzozowskiego świat zdążył się posunąć naprzód a żelaznych tych ramion przybyło sporo i to nie bylejakich.

Labirynt życia zmusza każdego do codziennego, ustawicznego działania, postępowania, decydowania się, wygłaszania opinii i t. d. — bez dokładnej wiedzy o rzeczach i okolicznościach, wiążących się z jego aktywnością.

Taki jest już los. Nie trzeba dawać nawet przykładów z życia pospolitego szeregowca życiowego, bo znajdziemy je, ku zgorszeniu, wśród samych generałów postępu: uczonych. Postęp idzie tak szybko, produkcja idei i teorii jest tak wielka, że nawet fachowiec-specjalista nie może dziś nadążyć za nimi. Pamiętam żywo skargę jednego z wybitnych polskich naukowców (biologa), że nie może — nawet w swym wąskim zakresie zainteresowań — przeczytać choćby małej części tego, co pisze się na świecie, że musi posługiwać się specjalnym wydawnictwem niemieckim, rocznikiem zawierającym katalog rozumowany ważniejszych prac. Stamtąd dopiero wybiera sobie lekturę. Gdyby chciał wszystko przeczytać, nie mógłby nic w życiu robić, ani jeść ani spać tylko bez przerwy czytać. Musi więc zrezygnować z poznania wszystkiego i, przynajmniej w części, postępować „na wiarę".

A cóż dopiero my „biedni prostaczkowie", nie luminarze! Raz po raz robimy coś „na wiarę" bez możności i chęci sprawdzenia. Przy bliższym rozejrzeniu się okazało się, że pewnie 90% naszych czynności idzie na kredyt. Kto z używających pasty do zębów „Kalodont" przekonał się, że usuwa ona wyśmienicie kamień nazębny? Nikt napewno, tyle tylko, że wierzy. Kto starał się sprawdzić czy masonerią kierują Żydzi? Kto w Z. S. R. R. ma możność sprawdzić, jak żyje robotnik angielski i ilu obywateli niemieckich ma możność zbadać, jak to jest naprawdę z tą rasowością i wyższością nordyków... Muszą zadowolnić się wiarą, wybrać z kilku wersyj taką, która najwięcej przypada do gustu. I nic ponadto. Jakież to więc wdzięczne pole dla propagandy? Co za perspektywy!

Przecież z tego skromnego stwierdzenia wynika rzecz ważka — sens propagandy. Tu nie idzie już o jednostki ale o masy, właściwie o całe narody; tylko jednostki zdolne są wywikłać się z tego labiryntu i spojrzeć naprawdę własnymi oczami. Można w tym miejscu zrobić zarzut zbytniego rozciągnięcia pojęcia propagandy przez włączenie doń zjawisk należących do nauki i wychowania. Otóż nie.

### GDZIE KOŃCZY SIĘ NAUKA

Łatwo by zacytować przykład drukowania podręczników uniwersyteckich w U. S. A. z dziedziny elektryczności za pieniądze towarzystw akcyjnych, produkujących energię elektryczną, i opłacanie profesorów, aby uzasadnić (naukowo) wysokie ceny prądu. Kres temu dopiero położyła państwowa elektrownia, dowodząca *ad oculos* możność tańszej produkcji. Ale to, ma się rozumieć, nie wyjaśniło by sprawy, a tylko wskazywało na przekupstwo. Nie trudno jednak odeprzeć zarzut w sposób bardziej przekonywujący.

Wykładanie marksizmu w szkole w Moskwie jest nauką, te same wykłady — bez najmniejszej zmiany — odczytywane na jakimś zebraniu w Warszawie są propagandą.

Dyskutowanie np. sprawy zmiany konstytucji na seminarium prof. W. Makowskiego na Uniwersytecie Warszawskim będzie edukacją, omawianie tego samego w prasie — propagandą. Uczony może wierzyć, że potępiając na wykładach rewolucyjne zmiany socjalne, daje tylko „prawdę" a robi akturat to, co niektóre partie na wiecach. Gdzie jest prawda a gdzie — nieprawda? Gdzie kończy się nauka a zaczyna propaganda?

Jeden z byłych profesorów pewnej wyższej uczelni warszawskiej na wykładach prawa politycznego uczył (było to kilka lat temu), że „piatiletka" to bluff, „gdy obcokrajowcy przejeżdżają koło fabryk, spędza się chłopów, aby palili meblami w piecach a dym walący z kominów pozoruje pracę fabryk". Tak nienawidził komunizmu.

Faszyzmu również nie cierpiał, z tego powodu Włochy nazwał krajem podejrzanych organizacji i kładł wielkie nadzieje na konflikt między następcą tronu księciem Humbertem a Mussolinim (niektóre z tych prawd uwiecznione zostały w skryptach).

Jak — dalej — wyłuskać naukę i oddzielić ją od propagandy na wykładach pewnego profesora wileńskiego, nie obdarzającego sentymentem obecnej naszej konstytucji. Czy zresztą on sam może to zrobić? Napewno nie, bo wierzy w „prawdziwość" swoich tez. Tylko, co ma robić obywatel szaraczek?

W „Rocznikach Polskiej Akademii Umiejętności" mamy najwyższy stempel naukowości, a czy chroni on od propagandy? Posłuchajmy: „idealistyczne nastawienie współczesnej fizyki — pisze ceniony i sławny fizyk polski — jest faktem i niepodobna było by powoływać się dziś na fizykę w obronie tez materializmu"... „Dostrzegliśmy podobieństwo, oddających wiernie rzeczywistość, konstrukcyj współczesnej fizyki do idej platońskich lub, może w stopniu jeszcze większym, do form arystotelesowych, a przecież wiemy, że z myśli Platona i Arystotelesa w dużej mierze przyswoiła sobie treść filozoficzną ta religia, która zdobyła duszę narodów cywilizacji europejskiej", t. zn. chrześcijańska.

Tylko nie uważajmy propagandy za coś koniecznie związanego z kłamstwem, nierzetelnością, przekupstwem, i czyimś interesem materialnym.

Wydaje mi się, że udało mi się przekonać czytelników o trudności oddzielenia nauki od propagandy, a co za tym idzie, utrzymać tezę, że człowiek przeciętny jak i nawet nieprzeciętny zdany jest, ze względu na ogromną komplikację cywilizacji współczesnej, na łaskę i niełaskę wiary (wszystko jedno czy w „coś" czy w autorytet), intuicji i t. d. — a więc motywów będących domeną propagandy.

Nie poruszamy tu przy tym rozmyślnie kwestii „obiektywizmu"...

*) patrz Nr. Nr. 11 (16) i 12 (17) „Zaczynu".

WOLNOŚĆ

To przeciekanie propagandy przez niezliczone kanaliki życia społecznego, wzbudziło czujność niektórych grup społecznych, dla których opanowanie opinii publicznej było zagadnieniem pierwszorzędnej wagi.

Szybko minęły dawne sielskie stosunki, gdzie propaganda ograniczała się właściwie do dawania ogłoszeń, gdzie każdy (aby tylko miał pieniądze) mógł pisać co chciał i gdzie chciał.

Złota wolność zginęła wraz z wolnością życia gospodarczego.

Aby to zobaczyć, trzeba jednak przenieść się z Polski, nie doganiającej pod wieloma względami świata zachodniego, do reprezentacyjnych w tym względzie Stanów Zjednoczonych. Tam z laisser-fairyzmem w ekonomii minął laisser-fairyzm propagandy; nie tylko wolność gospodarowania upadła pod obuchem karteli i monopolów lecz również i swoboda pisania i gadania została zgilotynowana przez kartele propagandy.

Wolność miała sens, gdy przemysł i handel były rozdrobnione. Z nadejściem monopolów ekonomicznych, wolność staje się fikcją, często szkodliwą fikcją.

To samo z propagandą. Weźmy naprzykład prasę. W Stanach Zjednoczonwch panuje *de jure* wolność. A jak jest naprawdę? Jaki sens ma teoretyczna zasada wobec takich kolosów prasowych jak Hearst, jak Mc Cormic i jak California Publishers.

W państwie prasy, monopol jest większy, niż wśród królów stali, nafty czy bawełny.

Na 1.305 miast, liczących ponad 100.000 ludzi, tylko 163 posiada po kilka dzienników niezależnych i konkurujących z sobą. Reszta t. zn. 87% miast jest wydana na łup jednej tylko gazety, częściej wielu gazet, ale z pod jednego stempla, z jednej spółki akcyjnej.

Słowem rynek psychologiczny jest podzielony zupełnie tak samo jak rynek ekonomiczny.

Mieszkam w stanie Alabama — mogę kupić zupę pomidorową w konserwach tylko Mc Doodley'a, a strawę duchową tylko u Mr. Hearst'a; jeśli zaś jestem obywatelem stanu Kalifornia— jem zupę pomidorową tylko Mr. Butch'a, a czytam tylko to, co jest „produkcji" California Publishers.

To jest oczywiście bardzo wygodne i ekonomicznie i politycznie. Prasa w Ameryce to świetny interes, nie można dopuścić do zepsucia jego w „dzikiej konkurencji". Politycznie jest to także niezbędne. Coby działo się w tej Kalifornii, gdyby nie Spółka Akcyjna „California Publishers".

W roku 1935 kandydatem na gubernatora stanu był słynny pisarz radykał Upton Sinclair. Któż nie zna jego książek, demaskujących maszynerię wyzysku, jak „Król Węgiel" lub „Zawrotna Kariera Amerykanina". Wybór, rozumie się, wobec jego popularności był zapewniony.

California Publishers zgodzić się jednak na to nie mogli. Rozpętali wściekłą walkę: w milionach egzemplarzy rozchodziły się co kilka godzin ataki, kalumnie, groźby, ośmieszenia, błagania, straszenia; co kilka godzin obywatele Kalifornii dowiadywali się, że wybór Sinclaira — to koniec świata.

Walkę wygrali. „The California Newspaper Publishers Association" znało się na rzeczy i... miało monopol!

Dyspozycja psychiczna — jak i ekonomiczna — jest skartelizowana: silni urabiają resztę. Reszta ma coraz mniej do gadania.

Nie chodzi tu o wygłaszanie jakichś poglądów — co jest lepsze a poprostu o stwierdzenie faktu, że życie ludzi wieku XX dąży nieubłaganie do koncentracji, wszystko jedno czy w formie kartelu czy kolektywu.

Liberalizm ustępuje. To jest fakt. W obliczu karteli gospodarczych, politycznych (partia komunistyczna, faszystowska, nazi), społecznych i duchowych teoria liberalizmu jest fikcją, a najczęściej parawanem.

Z liberalizmem zerwały także niektóre państwa (ze względów ideologicznych), rezerwując służbę informacyjną i propagandową całkowicie dla siebie: Z. S. S. R., Włochy i Niemcy. Tam propaganda osiągnęła swój kulminacyjny punkt rozwoju jako narzędzie polityki. Jest ona nie tylko scentralizowana ale i planowana, służy nie tylko wywołaniu zamierzonych nastrojów, ale jest również techniką kontroli społecznej.

Kontrola duchowa stała się faktem i prawem po raz pierwszy w dziejach ludzkości w takim szerokim zakresie. 265 milionów poddanych rosyjskich, niemieckich i włoskich jest urabianych celowo i systematycznie, centralistycznie i bezwzględnie; 265 milionów ludzi jest w dyspozycyjności 3 jednostek: Stalina, Hitlera i Mussoliniego. To się nazywa rekord! Ale i rekordowe odbiegnięcie od ideałów Erazma z Rotterdamu.

Co mają jednak robić ci, wtłoczeni w środek tego kotła? Czy martwić się i czekać powrotu Erazma? Czy kopjować bezmyślnie obce wzory? Czy może zdobyć się na własną decyzję? (d. c. n.)

# TELEFONIA W NIEWOLI

Chcemy podzielić się z czytelnikami przykładem metod pracy kapitału zagranicznego w Polsce, aby zilustrować nasze twierdzenia z artykułu p. t. „Kapitał zagraniczny" (patrz nr. 7(12) „Zaczynu").

Tym razem przyjrzyjmy się **Polskiej Akcyjnej Spółce Telefonicznej** (dalej w skrócie: P. A. S. T.), która obejmuje w Polsce prawie połowę telefonii, jedną z zasadniczych dziedzin cywilizacyjnych w czasie pokoju i bardzo ważny element obronności państwa na wypadek wojny.

P. A. S. T. eksploatuje następujące tereny: Warszawę, Łódź, Lwów, Borysław wraz z Zagłębiem naftowym, Lublin, Białystok i Bydgoszcz. Wszystkie te miasta eksploatuje P. A. S. T. z okolicami o różnym promieniu. Tak np. Łódź i Borysław — w promieniu aż 20 km, Lwów, Lublin i Białystok — w promieniu 8 klm. Napozór jest to mała część Polski, lecz w rzeczywistości wynosi to prawie połowę aparatów telefonicznych i prawie połowę rozmów w Polsce.

W dniu 31 grudnia 1935 r. liczba aparatów telefonicznych, zainstalowanych na sieciach Zarządu Pocztowego wynosiła 126.517, a na sieciach P. A. S. T. — 103.967; w r. 1935 liczba rozmów telefonicznych przeprowadzonych na sieciach Zarządu Pocztowego sięgała 270 mil., na sieciach P. A. S. T. 249 mil. (patrz „Statystyka P. T. i T. — 1935 r.". Wydawnictwo G. U. S. str. 48; dalej w skrócie: St. P. T. i T.). Zarząd Pocztowy i P. A. S. T. są jedynymi w Polsce eksploatatorami telefonii.

Jak wynika ze statutu P. A. S. T. (patrz „Monitor Polski" Nr. 184 z dnia 12. 8. 1931 r.) prawa na eksploatację, przebudowę i rozbudowę sieci telefonicznych udzieliło P. A. S. T. Ministerstwo Poczt i Telegrafów w roku 1922 na lat 25, czyli do roku 1947.

Wynika z tego, że do r. 1947 połowa telefonii polskiej skazana jest na zależność od szwedzkiego kapitału i to w okresie, gdy pod względem telefonizacji kraju stoimy na 19 miejscu w Europie (patrz St. P. T. i T. str. 80). Na 10.000 mieszkańców mamy w Polsce 64 aparaty telefoniczne, podczas gdy: Dania — 1.000, Szwecja — 990, Szwajcaria — 940, Norwegia — 700, Wielka Brytania — 510, Niemcy — 470, Holandia — 380, Austria — 380, Łotwa — 340, Francja — 330, Węgry — 140, Hiszpania — 130, Włochy — 120, Czechosłowacja — 120, Irlandia — 110, Portugalia — 78. Za nami idą tylko Z. S. R. R. — 45, Bułgaria, Jugosławia i Rumunia.

Istotnie, jesteśmy w tej dziedzinie bardzo upośledzeni.

Nic dziwnego. Telefonia nasza jest w niewoli kapitału szwedzkiego. Kapitał bowiem w P. A. S. T., jak to wynika z protokółu Walnego Zgromadzenia Akcjonariuszy P. A. S. T. z dn. 26. 5. 1936 r., znajduje się w ręku czterech akcjonariuszy: Ministerstwo Poczt i Telegrafów ma 21.168 akcyj, czyli $^{3}/_{7}$ kapitału akcyjnego (grupa A), a L. M. Ericsson w Stockholmie S. A. ma 24.539 akcyj, razem zaś z Bankiem Handlowym w Warszawie, właścicielem 3.659 akcyj, i Aleksandrem Tallen-Wilczewskim (26 akcyj) tworzy solidarny blok (grupę B), dysponujący $^{4}/_{7}$ kapitału.

Udział tedy skarbu państwa w P. A. S. T. ogranicza się do dopełnienia kapitału i pobierania dywidendy. Żaden inny udział w polityce P. A. S. T. przy przewadze grupy szwedzkiej nie istnieje.

Statut P. A. S. T. został tak perfidnie ułożony( zatwierdziło go Ministerstwo Przemysłu i Handlu na podstawie koncesji nadanej P. A. S. T. przez Ministerstwo Poczt i Telegrafów), że wyklucza on możność rozwoju telefonii eksploatowanej przez P. A. S. T.

Jak wiadomo, rozbudowa telefonii zależna jest od wysokości taryfy. Jednakowe wpływy można osiągnąć dwoma sposobami: wysoka taryfa dla nielicznych konsumentów usług, lub, niska — dla masowej konsumcji. Każde przedsiębiorstwo usług szuka na krzywej linii dochodu takiego punktu taryfowego, któryby odpowiadał dochodowi, pozwalającemu na pokrycie wydatków eksploatacyjnych, odpisów amortyzacyjnych i zapewnienia pewnego przyjętego ogólnie zysku. I tu otwiera się pole do twórczości taryfowej. Przedsiębiorstwa użyteczności publicznej państwowe, samorządowe i spółdzielcze, ożywione jakimś wyższym celem, niż zysk, dążą do znalezienia drugiego punktu na wspomnianej krzywej w myśl zasady: minimalne taryfy — maximum abonentów.

P. A. S. T. sprytnie zawarowała sobie prawo do „dolce far niente", ustabilizowania się na punkcie najmniejszego oporu: wysoka taryfa — minimum abonentów, jak gdyby zależało jej specjalnie na tym, by jak najmniej rozwijać telefonię. A zresztą po co ma ryzykować.

Oto § 45 Statutu P. A. S. T. postanawia (a do roku 1947):

„Suma, jaka się okaże po potrąceniu od wpływów następujących wydatków: koszty eksploatacyjne, opłaty koncesyjne na korzyść Skarbu, wszelkiego rodzaju podatki, procenty i amortyzacje, te ostatnie w normach niżej podanych, stanowi czysty zysk roczny. Odpisy amortyzacyjne ustalają się, jak niżej, dla sieci telefonicznych 4 — 5%, dla maszyn i narzędzi 10%, dla innych nieruchomości 2 — 4%, dla innych ruchomości 5%, 10% czystego zysku doliczone zostaną do kapitału zapasowego (dawniej — dyspozycyjno-rezerwowego), a z pozostałej sumy przeznacza się na dywidendę dla akcjonariuszów nie więcej jak 12% od kapitału akcyjnego, wpłaconego na akcje zwyczajne i uprzywilejowane. Jeżeli po otrzymaniu przez akcjonariuszów 12% pozostanie przewyżka, może być jeszcze 1% na sieciach telefonicznych zamortyzowany. Jeżeli poza tym pozostanie jeszcze przewyżka, winna być ona bilansowaną na rachunku zysków i strat. Jeżeli bilansowana w ten sposób przewyżka zysków, przy stałych wypłatach dywidendy nie niżej 12%, wyniesie 10% kapitału akcyjnego, winny być obniżone

taryfy telefoniczne. Zysk bilansowany, w razie jeżeli będzie to konieczne, winien być zużyty na to, aby w latach następnych dał możność wypłaty dywidendy w wysokości 12%".

Jakie więc są warunki obniżenia taryf? Kiedy istnieje ta sytuacja przymusowa? A więc jest tych warunków aż 3:

1) stała wypłata dywidendy 12%,
2) amortyzacja sieci do 6%,
3) łączne nadwyżki zysku (po wypłatach 12% dywidendy!) dochodzą do 4.247 tys. zł. (10% kapitału akcyjnego).

Nawet i wtedy, gdy się obniży taryfę, musi ona być taka, by dostarczyła akcjonariuszom 12% dywidendy. A kto z góry może się upewnić, że właśnie obniżka będzie w stanie zrekompensować wzrostem liczby abonentów i rozmów straty na obniżce ceny abonamentu i rozmów pojedyńczych. Z tego wynika, że PAST ma zagwarantowaną stabilizację taryfy.

A to wcale nie obojętne, czy zamortyzować 4% na sieciach telefonicznych, czy 6%, bo w pierwszym wypadku wyniesie to 5.200 tys. zł. a w drugim 7.800 tys. zł. Operując tą „harmonijką" stawek amortyzacyjnych w amplitudzie 2.600 tys. zł., raz można zaniedbać amortyzację dla dopełnienia 12% dywidendy, raz „przeamortyzować" ukrywając nadmierny zysk. Istotnie — perfidny paragraf!!

Panowie z Ministerstwa Przemysłu i Handlu i z Ministerstwa Poczt oddali połowę polskiej telefonii w niewolę Szwedom, obdarzając ich takim niesłychanym przywilejem, jak 12% dywidendy plus faktyczna niemożność obniżenia taryfy w myśl § 45 statutu. Nic dziwnego, że zagraniczny kapitał śmieje się w kułak z Polski, bo takie gwarancje dawane są tylko przez kraje dzikie, kolonialne.

*

Statut statutem, a jak to było w rzeczywistości? Było jeszcze gorzej!

Zbadajmy bilanse P. A. S. T. (w Wydziale Rejestru Handlowego przy Sądzie Okręgowym w Warszawie B. 53/7568). Niestety, znajdujemy tam bilanse dopiero od r. 1931, inne są pogrążone w mrokach archiwum.

Otóż w latach od 1931 do 1935 P. A. S. T. stale wypłacała po 12% rocznie dywidendy mimo szalejącego kryzysu. Czytaliśmy w prasie że i za rok 1936 wypłaci również 12%, co wyniesie 5.097. 254 zł. 40 gr. Równocześnie amortyzowano, jak rzadko gdzie podczas kryzysu, wszelakie inwestycje, stosując bardzo wysokie stawki amortyzacyjne.

W końcu r. 1934 Ministerstwo Poczt i Telegrafów zmieniło taryfę i ustaliło w porozumieniu z P. A. S. T. nową taryfę, reklamując ją wespół z P. A. S. T., jako nielada obniżkę. Istotnie — obniżono opłatę stałą i cenę pojedyńczej rozmowy ponadkontyngentowej, lecz równocześnie zmniejszono kontyngenty rozmów. Faktycznie, ogólnie biorąc dokonano podwyżki taryfy, ukrywając ją w rekonstrukcji zasad taryfikacyjnych.

Gdyby ktoś zechciał podważać nasze argumenty, twierdząc, że przecież w ciągu r. 1935 liczba abonentów P. A. S. T. wzrosła z 72.040 do 82.943, więc kwota 29.129 tys. zł. wpływów za r. 1935 odnosi się do większej liczby abonentów niż w r. 1934, który przyniósł wpływów 28.012 tys. zł., i jest raczej proporcjonalnie mniejsza na jednego abonenta, co oznaczało by zniżkę taryfy: — śmiemy twierdzić, że jest to fałszywe rozumowanie.

Istotnym jest dla orzeczenia, czy była zwyżka taryfy, czy jej obniżka, porównanie ceny przeciętnej rozmowy w r. 1934, czyli przed zmianą taryfy i w r. 1935 czyli po zmianie. W r. 1934 72.040 abonentów przeprowadziło 251.476.900 rozmów za 28.011.652 zł., w roku zaś 1935— 82.943 abonentów przeprowadziło 248.738.701 rozmów za 29.129.583 zł. (St. P. T. i T. str. 47—48).

Cóż widzimy? Spadek absolutny liczby rozmów mimo wzrostu liczby abonentów, a więc i spadek tym większy liczby rozmów na jednego abonenta, wzrost przeciętnej opłaty za rozmowę z 11,1 gr. do 11,7 gr., czyli o 0.6 gr. na każdej rozmowie. Chyba rzecz jasna, że odbyła się podwyżka taryfy?

Zrekonstruowana taryfa, obowiązująca od 1 stycznia 1935 r. w połączeniu z automatyzacją sieci telefonicznych, doprowadziła do tego, że w roku 1935 osiągnęła P. A. S. T. zysk brutto 18.284 tys. zł., podczas gdy w roku 1934, czyli w roku przed obniżką — 16.598 tys. zł. W ten sposób „obniżka" taryfy dała P. A. S. T. wzrost zysku brutto o 1.686 tys. zł., z czego 1,118 tys. zł. wynika ze wzrostu wpływów, a tylko 568 tys. zł. — ze zmniejszenia kosztów eksploatacji na skutek zautomatyzowania sieci.

„Obniżka" taryfy była przeprowadzona w końcu 1934 roku, czyli w okresie, w którym można było w pełni wyzyskać doświadczenie znacznego wzrostu dochodów spółki, gdy zysk brutto za rok 1933 wynosił „tylko" 13.971 tys. zł., a w końcu roku 1934 widać było, że się zbliża do 16.598 tys. zł., ale, naturalnie, Ministerstwo Poczt i Telegrafów, od którego to zależało, nie chciało, albo nie umiało tego widzieć, bo zajmowało się... reklamą paczek żywnościowych i mundurowaniem listonoszów... na kolor ochronny"... W takich warunkach przy takiej koniunkturze wyraźnej zwyżki dochodów P. A. S. T. pozwolono jej na faktyczne podwyższenie taryfy.

Na co posłużyły te nadwyżki? W obawie o prawdziwą rewizję taryfy i prawdziwe jej obniżenie P. A. S. T. nie bilansowała nadwyżek czystego zysku na specjalnym rachunku, który, gdyby urósł do 4.247.712 zł., czyli 10% kapitału akcyjnego, zmusił by ją do obniżenia taryf, w myśl § 45 statutu. Prawem kaduka mimo braku takiego postanowienia w statucie, który kazuistycznie wymienia wszystkie wydatki, w bilansie za 1934 odpisuje P. A. S. T. z zysku. 1.254 tys. zł. strat na ręcznych centralach, a w roku 1935, gdy zysk stał się naprawdę kompromitująco wysokim, odpisuje analogicznie 2.768 tys. zł. jako następną transzę strat na tych centralach i to mimo dokonania pełnej amortyzacji w kwocie 6.579 tys. zł.

Że była to czynność nielegalna, a w każdym razie wybitnie szkodliwa dla rozwoju telefonii, świadczy fakt, że w bilansie, znajdującym się w Wydziale Rejestrowym Sądu Okręgowego w Warszawie ta kwota 2.768 tys. zł. figuruje odrębnie, a w bilansie, który każdy „niepoświęcony" w arkany rejestru handlowego czyta w „Monitorze Polskim" (patrz Nr. 130 z dn. 5.6. 1936 r. str. 5), wliczyła P. A. S. T. tę kwotę w sumę wydatków eksploatacyjnych, powiększając ją do 13.614 tys. zł. W ten sposób w ciągu lat 1934 — 35 ukryła P. A. S. T. 4.022 tys. zł. zysku. Nadto, by za żadną cenę nie dojść w nadwyżkach bilansowanych zysków do wspomnianej krytycznej kwoty 4.247.712 zł. — a była jej tak bliska — przeznaczyła hojnie w r. 1934 — 105.000 zł, a w r. 1935 — aż 132.000 zł. na jakieś „cele humanitarno-społeczne". Też dobrodziejstwo z kieszeni abonenta! (patrz również St. P. T. i T., str. 51).

Wspomniane kwoty 1.254.000 zł., 2.768.000 zł., 105.000 zł. i 132.000 zł. dają razem 4.259.000 zł. Gdyby zamiast bezprawnego odpisywania ich z zysku, względnie darowania na cele „humanitarno-społeczne", zbilansowano je na rachunku strat i zysków, P. A. S. T. była by zmuszona do obniżenia taryfy w myśl § 45 statutu.

A Ministerstwo Poczt i Telegrafów mimo, że miało w spółce aż trzech członków rady nadzorczej i dwóch ich zastępców, dwóch członków komisji rewizyjnej i dwóch ich zastępców, nie reagowało. Wynika z protokułów Komisyj Rewizyjnych i Walnych Zgromadzeń Akcjonariuszów, że wszystko odbywało się ładnie i składnie. Większość szwedzka uchwalała wysokie pobory i remuneracje dla przedstawicieli Ministerstwa Poczt i Telegrafów. Inkasowali, słuchali, milczeli, podpisywali i odchodzili. Zmieniali się jeden po drugim, ale P. A. S. T. nie pilnowali (a może nie chcieli pilnować).

Wcale nieźle płaci kapitał szwedzki milczącym przedstawicielom Ministerstwa. Z protokółu Zwyczajnego Walnego Zgromadzenia Akcjonariuszy P. A. S. T. odbytego w dn. 26.5. 1936 r., wynika, że prezes rady nadzorczej (z grupy rządowej akcyj) pobrał za r. 1935 wynagrodzenie 10.588 zł., a dwaj członkowie rady po 5.294 zł. i wszyscy trzej razem otrzymali „tytułem ryczałtowego zwrotu wydatków reprezentacyjnych" za r. 1935 — 26.000 zł. I to otrzymali wcale dobrze płatni urzędnicy państwowi za niemy udział w posiedzeniach, na których napewno nie było dyskusji. Wielki kapitał umie urządzać takie posiedzenia, są one ciche, eleganckie i zgrane...

Nie koniec na tym. Generalnym dostawcą P. A. S. T. w zakresie inwestycyj telefonicznych jest główny akcjonariusz L. M. Ericsson S. A. w Stockholmie. (Przypomina to, że głównym dostawcą Zakładów Żyrardowskich był p. Boussac). A P. A. S. T. dokonała w latach 1922 — 1935 inwestycyj na kwotę pokaźną 102.535.657 zł. Trudno na podstawie istniejących dokumentów stwierdzić, w jakim stopniu inwestycje te były dokonane z wyrobów krajowych, a ile jest w tym przywozu wyrobów Ericssona. Cicho o tym w sprawozdaniach rocznych P. A. S. T. Tylko w jednym sprawozdaniu za r. 1935 ogłasza spółka, że w r. 1935 sprowadziła materiałów ze Szwecji od Ericssona na 1.300.838 zł., a w kraju zakupiła na 2.236.861 zł. Tak, ale rok 1935 był już ostatnim podrygiem akcji automatyzacyjnej, ciekawsze były by sprawozdania za lata poprzednie! Za r. 1935 specjalnie opublikowano te dane, bo nie są one rażące. O tym wróble na dachach świerkają.

Cło i transport tych materiałów, przywiezionych od Ericssona w r. 1935 wynosiły 220.695 zł. Jeżeli dodamy tę kwotę do 1.300.838 zł. otrzymamy 1.521.533 zł. i to w najmniej intensywnym roku inwestycyjnym. A ile przez lat 15? Ile można by było na produkcji tego sprzętu wykształcić inżynierów-elektryków, majstrów, robotników, monterów, dla produkowania w Państwowych Zakładach Tele- i Radiotechnicznych sprzętu łączności?!...

*

Widzimy z tych rozważań i zimnych a skrupulatnie zebranych cyfr olbrzymią krzywdę, wyrządzaną państwu polskiemu przez obcy kapitał. Chińskim murem koncesji otoczona jest P. A. S. T., wprowadzona z honorami na 25-letnią eksploatację polskiej telefonii ze wszystkimi przywilejami i bez żadnych istotnych zobowiązań, otaczana stale troskliwą opieką Ministerstwa Poczt i Telegrafów, by jej włos z głowy nie spadł.

Sabotuje P. A. S. T. rozwój telefonii, łupi abonentów, hamuje rozwój krajowego przemysłu teletechnicznego, mając ożywione stosunki handlowe z Ericssonem w Stockholmie. A telefonia — to nie flirty, to ważny pierwiastek zwycięstwa podczas wojny. Przypominają się słowa Józefa Piłsudskiego:

**„Bez łączności nie ma i być nie może skoordynowanej pracy wojska. Nie ma złączenia wysiłków krwawych żołnierza dla odniesienia zwycięstwa i krew ludzka często leje się darmo".**

Trzeba o tym pamiętać i zabrać się energicznie do P. A. S. T., dosyć już lat brała po 12% dywidendy! Czas, aby państwo wyzwoliło telefonię z niewoli szwedzkiej! A wszystkim adwokatom płatnym bezpłatnym i półpłatnym zagranicznego kapitału radzimy przejrzeć akcik P. A. S. T. w rejestrze handlowym pod pozycją B. 53/7.568. Może im oko przejrzy! (77)

# „POLITYKA POLSKA PO ŚMIERCI JÓZEFA PIŁSUDSKIEGO"

Taki tytuł położył p. Zdzisław Stahl na dziełku swoim (wydanym w r. 1936) zasługującym na omówienie a zaznaczyć należy odrazu, że tytuł ten nie odpowiada całkowicie treści rozprawy publicysty lwowskiego. Autor stacza bój ze stronnictwem narodowym czyli z endekami... Psychologicznie jest to zrozumiałe. Autor rósł, karmiąc się ideologią narodowo-demokratyczną, wyrósł na „endectwie", przejrzał je i to przejrzał gruntownie. Nic więc dziwnego, że szerząc teraz swoje poglądy zwalcza przeciwnika, którego znaczenie gotów jest wyolbrzymiać, gdyż bądź co bądź, zwalcza swój dawny obóz.

Pod tym względem jednak jest i żywszy i ciekawszy od wielu „sanatorów", których obóz „narodowy" czyli endecy tak sugestionują... Różnica pomiędzy wielu nawet wybitnymi „sanatorami" i niektórymi pisującymi legionistami jest także ta, że p. Stahl jest naprawdę młody. Jest to publicysta rozwijający się, wierzący w to co pisze, pewny swego stanowiska. Stanowisko endeckie nie jest dla niego kredowym kołem, którego nie umiał by, niczym biedna kurka, przekroczyć.

Zwracamy uwagę na to w *Polityce*... co według nas jest słuszne, co na podkreślenie zasługuje, przechodząc do porządku dziennego nad terminologią autora. Naszych czytelników to nie zdziwi. Odrywamy się zawsze od werbalizmu i od definicyj nie pragnąc sporu z tym, do czego nie przywiązujemy większego znaczenia. Pisaliśmy już o tym, że często dyskusje u nas są niejako pogawędką w domu rodzinnym, gdzie według *Słówek* Boya, każdy mówi o czym innym, dodając już od siebie, że każdy używając tego samego słowa rozumie pod nim co innego.

*

W r. 1935 zaszły dwa fakty historyczne: uchwalono Konstytucję kwietniową i umarł Józef Piłsudski.

Dla p. Stahla Konstytucja kwietniowa jest realizacją zwycięstwa Piłsudskiego, a to dlatego, że „Stwarza ona jednolitą i niepodzielną władzę państwową, skupioną w osobie Prezydenta, daje gwarancje prawne pierwszorzędności sprawom siły zbrojnej i daje rządy, zdolne do pobierania decyzyj w imię nadrzędnego interesu całości narodowej, a niezależnie od falowania opinii oraz nacisku partykularnych interesów".

Czytamy dalej: „Dzięki konstytucji zasada wyrzeczenia się wszelkich egoizmów w imię służby nadrzędnym celom Państwa nie zostaje na wiecznej łasce kaprysów dobrowolności, na łasce szlacheckiego pospolitego ruszenia... Staje się natomiast prawem narodu, ustalonym w jego historycznej świadomości i narzuconym rozwojowi dziejowemu wychowawczą mocą przymusu państwowego". Krótko zaś mówiąc „Konstytucja kwietniowa stwarza prawo i przymus tam, gdzie słomiany ogień zapału ani dobrowolność pospolitego ruszenia nie mogą wystarczyć"...

Nie ulega wątpliwości jedno: obowiązująca konstytucja jest mocną podstawą, na której prawnie może się oprzeć każdy silny rząd.

*

Słusznie stwierdza autor „Polityki polskiej po śmierci Piłsudskiego", że Piłsudski był Wodzem i to pierwszym Wodzem, bo przed Mussolinim, Leninem i Hitlerem. Wprowadził On zasady wodzostwa, miał naturę Wodza". Po śmierci Piłsudskiego „Ludzie, którzy kochali swoją ideę w osobie Wodza i tylko za pośrednictwem jego rozkazów umieli ją rozumieć, stają wobec pustki. Już tylko z pamięcią rozkazów i wskazań, z zasobem wspomnień, których interpretacja należy jedynie do nich samych".

I właściwie mówiąc tak jest po dziś dzień, a jest tak dlatego, że Piłsudski był Wodzem i to Wodzem — wielkim wychowawcą. Tym ludziom, którzy „kochali swoją ideę w osobie Wodza" wszczepił Piłsudski to głębokie przekonanie, że moralnym jest przede wszystkim *czyn*. Piłsudski jako geniusz Czynu, nie przywiązywał wagi, a kto wie? może miał i wstręt do tej całej rzeki słów, która szumiąc i pieniąc się jest u nas wyrazem wszelkiej ideologii (nie tylko „narodowej"). Wymagał On ideologii praktykującej, obowiązującej czyli *użytkowania* idei. A tego inaczej nie można dokonać jak tylko *czynami, realizacją*. I może dlatego nasz artykuł p. t. „Sieroctwo legionistów" (Nr. 4 — 5, 1936) wywołał w niektórych kołach i kółkach legionowych tyle oburzenia... Albowiem legioniści kochając swoją ideję w osobie Wodza, kochają także... siebie... A czas najwyższy Piłsudskiego nie tylko kochać, ale i rozumieć.

Najpiękniejsza ideologia nie realizowana jest pustą! Bezczynność nie wydaje Wodzów. I po śmierci Wielkiego Marszałka należy powiedzieć, że za Jego życia w Jego *rozkazach* tkwiła *przewodnia myśl ideowa*. Nie potrzebna Mu była do realizacji ani agitacja ani propaganda!...

*

Śmierć Józefa Piłsudskiego była wielkim wstrząsem narodowym. P. Stahl słusznie podkreśla, że śmierć ta początkowo zjednoczyła ludzi, ale słusznie też stwierdza, że „Zjednoczenie duchowe Narodu u trumny Piłsudskiego było w sercach liczebnej masy i większości tylko ową „myślą co — według Słowackiego — nie trwa ani godziny", ale autor *Polityki*... nie zastanawia się dlaczego tak się stało... Wydaje się nam, że chwila śmierci Piłsudskiego i czas związany z uroczystościami pogrzebowymi będzie przedmiotem rozważań historyków... Bo przecież trumna w której spoczęło ciało Józefa Piłsudskiego była trumną wielką, a wielkość zawsze czemuś służy tak, jak całym swym żywotem i przez całe życie służył sam Wielki Zmarły.

J. Piłsudski był człowiekiem nie uznającym tragedii... Tragedia Jego śmierci dokonała zapewne tego, że Wielkiego Marszałka pochowano tylko wspaniale... Po ukryciu na Wawelu trumny została w kraju pustka... Bezustanne, długie pielgrzymki ludzkie na Wawel dowiodły, że te pielgrzymki mogły być ożywione innym duchem, nie wyłącznie duchem żałobników... Ale, że się nic samo nie robi — więc i duch sam przez się w ogół narodowy nie wstępuje (choćby z frazeologii „narodowej" wynikało inaczej). Znał, o! dobrze znał Piłsudski karłów co go opluwali, ale miał i karłów, którzy go wielbili... Mówiąc bardzo zimno i prozaicznie: nie umiano wielkiej trumny w chwili wielkiego wstrząsu narodowego wyzyskać dla jakiejkolwiek próby, noszącej charakter wielkiej myśli politycznej a dążącej do zasadniczych przeobrażeń kraju po którym tłucze się wielka chęć i tęsknota do wielkich zmian po dziś dzień nie realizowanych.

To co p. Stahl nazwał „kryzysem idei niepodległości" dało się odczuć pod koniec życia Wielkiego Marszałka. Kryzys tej idei — czyli „brak ideału", brak nowej idei. I to „zdanie jest śmiesznym głupstwem albo nieporozumieniem". I znowu p. Stahl słusznie tak uważa.

„Jest głupstwem — czytamy w Polityce... — bo jeśli warto było walczyć o odzyskanie wolności i suwerenności, to chyba równie warto jest tej wolności odzyskanej używać; jeśli warto było poświęcać życie dla odzyskania niepodległości, jako warunku polskiej, własnej twórczości, to tymbardziej warto jest na swobodzie tworzyć na własnej ziemi, gospodarować i wreszcie zdobytej wolności przed dalszymi niebezpieczeństwami bronić. Jeśli ktoś przywiązany do ideału niepodległości chce koniecznie ideału w postaci przeszkód do zwalczenia, to jest naiwny, gdy ich dzisiaj po odzyskaniu niepodległości nic widzi.

Można go łatwo „pocieszyć". Jest z czym walczyć, by niepodległość zachować, amatorów na odebranie jej nam znajdzie się dosyć, żyjemy nie na księżycu, ale w świecie rozpętanej imperialistycznej ekspansji i międzynarodowego nacisku. Gdy nie będziemy walczyć i zwyciężać, w spokoju nas nie zostawią, zasmuconych brakiem ideału. Wrogowie nasi postarają się już sami bardzo rychło, by powrócić nam i wskrzesić ponury ideał niepodległości"

Z tym zgoda! Z tego powodu my, w naszym „Zaczynie" nie paramy się „syntezami ideowymi", „ideałami", „ideami" i daliśmy temu wyraz jasny (ostatnio w N-rze 10 — „Milion Don Kiszotów"). Najzupełniej nam wystarcza zajmowanie się zrealizowanym „ponurym ideałem" niepodległości, którym jest Państwo Polskie. Jest się czym zająć, jest na co wytężyć wszelki zasób sił i to na parę pokoleń, by wreszcie państwo naprawdę zeuropeizować, co może się stać i wizją wielkiej naszej przyszłości i hasłem porywającym, byle... Bylebyśmy się zdołali zrozumieć, że państwo to nie tylko „przedmurze" i nie tylko „misja dziejowa" ale także żelazo, węgiel, stal i nafta i że potęgę państwa buduje się planowo, na podstawach ścisłych...

Gdy jednak p. Stahl twierdzi, że w życiu naszym przestał działać „potężny motor idealizmu, związanego z celem odzyskania wolności", z tym się nie godzimy, uważając chyba słusznie, że autorowi *Polityki*... chodzi zapewne o „idealizm"... Otóż stwierdzamy (z tym zastrzeżeniem, że nie mówimy o rzeczach ścisłych), że zasób idealizmu w narodzie napewno nie zwietrzał, ale idealizm związany jest z wielkimi celami, z wiarą, z pracą realizacyjną, z wolą twórczą. Potrzeba nam przedewszystkim i to jaknajrychlej — jednego: przełamania, przebicia istniejących warunków, składających się na dzisiejszy zastój, obecny marazm... Przebicie, przełamanie — to ani wybijanie szyb kamieniami czy petardami, ani niszczenie sal wykładowych czy laboratoriów, ani ciskanie spluwaczkami w profesorów lub jajami w docentów. Jest to realizacja planowych zamierzeń na wybranych odcinkach (np. przemysł wojenny lub szkolnictwo zawodowe) lub na całych frontach (wiejskim, przemysłowym — miejskim), jest to zdobywanie wolą państwową i ciężką pracą posłuszeństwa historii, która się sama nie robi, którą się kształtuje dla najwyższego dobra państwowego.

*

„Ideał naczelny", którego charakter jest państwowy, wymaga nowych zespołów i nowej podstawy działania. Albowiem trzeba umieć „wszystko podporządkować sprawie budowania silnego państwa i trzeba umieć przełamać wszelkie opory, całą koalicję sił odśrodkowych, wskrzeszoną po śmierci Piłsudskiego dla wywrócenia fundamentów". Potrzeba więc siły, siły nowej do kontynuacji wielkiego dzieła. Tą siłą

„nie jest żadna, najbardziej zasłużona organizacja ludzi złączonych czynami w przeszłości ubiegłego okresu dokonanymi, bo nowe zadania mają nową treść i wymagają świeżego zespołu pierwiastków, choćby ich najwięcej ta lub inna organizacja mogła dostarczyć. I nie może nią być wreszcie żaden „front młodych", ludzi w pewnym wieku, bo dzisiejsze młode pokolenie żadnej jedności wewnętrznej ani siły realizacyjnej nie przedstawia, a z drugiej strony doktrynerskie ograniczenie się do młodości w znaczeniu metrykalnym i fizycznym byłoby zasadą nierozsądną i oczywiście szkodliwą. I nie może być w końcu taktyczna jakaś kombinacja, kartel interesów, sprytna „siuchta" klik, koalicja sytych mobilizowana przeciw głodnym, albo zasłużonych przeciw nowym, twórczym ambicjom. Nie może być, bo wtedy nie byłoby mowy o dopływie świeżej energii i idealizmu, więc o kontynuacji dzieła i ciągłości rozwoju".

Tej nowej siły p. Stahl nie nazywa wyraźnie (boć i trudno), ale ogólnie określa jej cechy. Zręby organizacji państwowej są punktami oparcia tej nowej siły. „Gotowe zręby, czyli Siła Zbrojna, Ustrój Konstytucyjny i autorytet Wodza Naczelnego". To są pierwiastki kontynuacji. „Ale trzeba i rewolucji" — woła p. Stahl.

„Trzeba ciągłego odrzucania tego, co nagromadziło się w naszej świadomości i ciąży na życiu, jako destrukcyjna siła anachronizmów trwających siłą inercji. Szeroka koalicja tych anachronizmów sprzymierzonych z obcymi wpływami, ogarnia dzisiaj

(Dokończenie na str. 8-ej)

# „ZAGADNIENIE SPECJALNE"

(Przemówienie posła G. Szymanowskiego na posiedzeniu Sejmu R. P. przy dyskusji nad budżetem Ministerstwa Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego).

Na podstawie stenogramu z 43 posiedzenia Sejmu dnia 20 lutego 1937 r.

Wysoki Sejmie! Pragnę poruszyć zagadnienie specjalne, dotyczące wyznania prawosławnego, ściślej mówiąc, cerkwi prawosławnej w Polsce. Zaznaczę, że będę ujmował to zagadnienie z punktu widzenia ludności białoruskiej wyznania prawosławnego, nie rozszerzając tematu na Wołyń, gdzie może być odmienne ujęcie. Zagadnienie, które poruszę, jest bardzo drażliwe, nie mniej jednak, a może tym bardziej pragnę je przedstawić Wysokiej Izbie z całą otwartością. Oto jesienią roku ubiegłego, dokonane zostało przetłumaczenie nabożeństw prawosławnych na język polski. I to nie tylko nabożeństw dodatkowych, ale i mszy świętej. W krótkim czasie po dokonaniu przetłumaczenia poszczególne kurie biskupie wysłały okólniki do dziekanów, zalecające odprawianie tych nabożeństw tam, gdzie zajdzie tego potrzeba. Naturalnie, że to ostatnie ostrzeżenie może mieć pewne znaczenie, ale w istocie będzie miało znaczenie tylko formalne, gdyż te rzeczy przy pewnym nacisku administracyjnym zawsze bardzo łatwo stworzyć. Na uzasadnienie tego bardzo ważnego posunięcia przetłumaczenia nabożeństw prawosławnych na język polski wysuwa się kilka argumentów. Pierwszym jest, że cerkiew prawosławna w Polsce stanowi w tej chwili czynnik rusyfikacyjny, że nabożeństwa są odprawiane w języku rosyjskim. Słyszę sam te argumenty z ust osób, zajmujących poważne stanowiska, przyszedłem do przekonania, że są one wysuwane z jednej strony w najlepszej wierze, a z drugiej wypływają z zupełnej nieznajomości rzeczy. Językiem cerkwi prawosławnej jest język nie rosyjski, lecz starosłowiański język, który został przyniesiony na nasze ziemie jednocześnie z wyznaniem w IX wieku, który się organicznie zrósł z naszym wyznaniem, stanowi jego nieodłączną treść i stał się niemal jego istotą w naszych warunkach. Muszę jeszcze powiedzieć, że język starosłowiański jest również podobny do języka rosyjskiego jak i do polskiego, jak i do białoruskiego, jak i do każdego z języków słowiańskich. Wobec tego, nabożeństwa prawosławne w żadnym wypadku nie mogą i nie spełniają roli rusyfikacyjnej w Polsce. Co innego kazania w cerkwi, co innego nauka religii w szkole, co innego obcowanie kleru z wiernymi. Otóż tutaj istotnie, chcąc być bezstronnym, muszę przyznać, że jeśli chodzi o starsze pokolenie kleru prawosławnego, o ludzi, którzy otrzymali wychowanie w szkołach rosyjskich, o ludzi starszych, którzy się nie nauczyli dotąd języka polskiego, a wygłaszają kazania po rosyjsku, czy wykładają naukę religii w szkołach nawet dla ludności białoruskiej również po rosyjsku, to naturalnie że te wszystkie momenty są momentami rusyfikacji. Zgadzam się z tym zupełnie, alež przecież to nie ma nic wspólnego z językiem liturgicznym. Jeśli mogę w zupełności zgodzić się, aby wśród ludności białoruskiej w obcowaniu księży prawosławnych z nią był wyrugowany język rosyjski, to nie mogę się zgodzić dla powodów bardzo poważnych, które później przedstawię — aby bardzo pochopnie dokonywano tak radykalnej zmiany, jak zmiana języka liturgicznego.

Drugim powodem, który słyszałem, jest to, że przecież w Polsce jest pewna ilość Polaków wyznania prawosławnego, którzy chcą mieć nabożeństwa w języku swoim, zrozumiałym dla nich. Ten argument, który słyszałem, muszę zakwalifikować jako niepoważny, bo przecież jeśli mamy na naszych terenach tę znikomą ilość Polaków wyznania prawosławnego, to nie wiem jeszcze czy dla niej, liczącej może setki osób najwyżej, trzeba było dokonywać tak głębokiej reformy, jak zmiana języka liturgicznego. Otóż proszę Wysokiej Izby, jakież będą skutki tej pochopnej reformy? Już słyszałem o tych skutkach. Mianowicie, tam gdzie zaczęto odprawiać nabożeństwa w języku polskim, wierni przestali chodzić do cerkwi. A więc czy może być intencją tej reformy szerzenie bezbożnictwa? Dalszym skutkiem będzie mnożenie się sekt, których i tak na naszych ziemiach mamy aż zadużo; a przecież niektóre sekty stoją na stanowisku — może, że się z nimi walczy — wręcz antypaństwowym, niektóre sekty propagują niewstępowanie do wojska i t. d. Wreszcie, co jest również stwierdzone na naszych ziemiach i co się daje odczuć — posunięcie to będzie w całej pełni wykorzystane przez agitację komunistyczną, idącą ze wschodu. Agitatorzy mają szerokie pole do popisu. Twierdzą i przekonywują ludność: Widzicie co z wami robi Polska, chce „opolaczyć" — jak mówią — chce spolonizować wasze wyznanie i waszą cerkiew.

Wysoki Sejmie! Prócz tej strony zagadnienia religijnej, kościelnej istnieje dla mnie jeszcze inna strona, w moim rozumieniu o wiele ważniejsza, mianowicie strona społeczno-polityczna. Ale tutaj na chwilę muszę sięgnąć do niedalekiej historii. W kilka lat po powstaniu styczniowym, w r. 1869, car Aleksander II najmiłościwiej zezwolił — jak się to wówczas mówiło — na odprawianie nabożeństw dodatkowych w kościołach rzymsko-katolickich na Białorusi w języku rosyjskim. Diecezja wileńska wówczas nie miała biskupa, zarządzał nią ks. prałat Żyliński. Otóż ks. prałat Żyliński musiał tę wolę cara w jakikolwiek sposób wypełnić i zażądał od podległych mu księży złożenia deklaracji o tym, że będą dodatkowe nabożeństwa, w szczególności modlitwy za cara, odprawiać w języku rosyjskim. Te deklaracje nazywano rytuałami. Stąd księża, którzy podpisali deklaracje otrzymali nazwę rytualistów. I otóż niektórzy księża, a muszę powiedzieć z całą bezstronnością, że to były nieliczne wyjątki, zaczęli poszczególne modlitwy odmawiać w języku rosyjskim. I jakież były rezultaty? Znam z podań parę wypadków z okolicy dla mnie najbliższej. Otóż w jednym wypadku baby kościelne zmusiły księdza do ucieczki z parafii. W drugim wypadku, w Nieświeżu, kiedy ksiądz po takim nabożeństwie wyszedł z kościoła, baby kościelne zdarły z niego sutannę i ksiądz w bieliźnie musiał salwować się przed nimi ucieczką i w rezultacie opuścić parafię. I ponoć, proszę Wysokiej Izby, w tej reakcji przeciwko zarządzeniom cara Aleksandra II brały udział nie tylko katoliczki, ale i kobiety prawosławne. Nie chcę powiedzieć, że historia się powtarza, jednak w momentach pewnego napreżenia nerwowego niewątpliwie oblicze historii miewa te same grymasy i skurcze. Skąd jednak wynurnęła ta żywa reakcja wszędzie tam, gdzie księża próbowali modlitw w języku rosyjskim? W moim rozumieniu, proszę Wysokiej Izby, to jest rzecz zupełnie zrozumiała, Religia bowiem jako związek człowieka z Bogiem i wyznanie, każde wyznanie, jako zewnętrzna forma tego związku jest najbardziej osobistą, najbardziej intymną dziedziną duszy ludzkiej. Dlatego każdy człowiek bez różnicy poziomu kulturalnego i umysłowego jest bardzo wrażliwy na ingerowanie w tę dziedzinę, bez jego wyraźnej zgody. Stąd może płynie ta szeroka tolerancyjność wyznaniowa na Białorusi. Proszę Wysokiej Izby, my nie mamy dotąd walk wyznaniowych, u nas prawosławni i katolicy żyją obok siebie w najlepszej zgodzie, śmiało tego określenia mogę użyć, w braterskiej zgodzie. U nas są na porządku dziennym mieszane małżeństwa, gdzie mąż jest katolikiem, żona prawosławną lub odwrotnie. Dzieci są chrzczone w kościele lub w cerkwi i nam jest z tym dobrze. Tak się ułożyły nasze warunki i powtarzam, że nam jest z tym dobrze. Jesteśmy dla siebie wzajemnie braćmi. Znane są wypadki, że kiedy za czasów caratu księża katoliccy byli prześladowani i ścigani przez żandarmów, to ludność prawosławna dopomagała im ukrywać się narówni z ludnością katolicką.

Po cóż dziś, na miły Bóg, przez takie nieprzemyślane posunięcie wbijać klin między te dwa społeczeństwa. Inaczej tego nie można nazwać jak wbiciem klina, gdy podchodzi się do tak ważnej rzeczy jak zmiana języka liturgicznego z góry i gdy to nie wyrasta z dołu.

Ludność białoruska nie potrafi sobie tego inaczej wytłumaczyć, ludność, która jest daleka od wszelkich wyższych kombinacyj, inaczej nie powie jak to, że zrobili to — że użyję powiedzenia białoruskiego — *„pany i księdzy"*. U nas wśród ludności białoruskiej do dziś Polak jest synonimem katolika i odwrotnie. *I nie wątpliwie w ten sposób stwarza rozdźwięk pomiędzy dwoma społeczeństwami.* A czy to jest potrzebne i w czyim interesie to leży? U nas ludność w masie swojej nie zna jeszcze języka polskiego. Tam gdzie młodzież po wyjściu ze szkoły albo po powrocie z wojska w parę lat zapomina czytać po polsku, tam gdzie dla powrotnego analfabetyzmu jest miejsce większe niż gdzie indziej, tam przede wszystkim należy nauczyć ludność czytać po polsku, mówić po polsku i odpowiednim ustosunkowaniem się spowodować taką sytuację, aby modlenie się po polsku stało się potrzebą duszy ludzkiej, a nie narzucać tego z góry drogą nakazu. I dziwnym wydaje mi się, że właśnie w tym momencie, kiedy się usiłuje wprowadzić rozdźwięk, bo inaczej tego nazwać nie mogę, między oba społeczeństwa, to nikomu do głowy nie przyszło, aby w tej samej dziedzinie usunąć przeszkodę, która nas dzieli a nie łączy. Dotychczas mamy podwójny kalendarz. Dotąd w cerkwi prawosławnej obowiązuje kalendarz juliański. Ja nie mówię, że dałoby się wszystkie święta połączyć, bo jeżeliby chodziło o święta ruchome, to wchodziłyby tu w grę względy kanoniczne, ale jeżeli chodzi o święta nieruchome, o święta stałe, sądzę dałoby się to zrobić, i to właśnie byłoby wzmocnieniem współżycia. Zaiste, proszę Panów, jeżeli właśnie o tym nikt nie pomyślał z tych, kto spowodował przetłumaczenie nabożeństw na język polski, to ma się wrażenie, że w tym wszystkim działa jakaś złośliwa ręka.

Wysoka Izba może mnie zapytać dlaczego poruszam tu tę kwiestię, przecież przetłumaczenia nabożeństw dokonał Synod cerkwi prawosławnej, a nie Rząd. Słusznie, dokonał tego Synod, ale przecież wiadomo, że Synod cerkwi prawosławnej nie zrobił tego z własnych pobudek, tylko na czyjeś życzenie. Nie chcę tu wchodzić w krytykę i nie mogę wchodzić w krytykę Synodu prawosławnego w Polsce, powiem tylko krótko, że Rząd polski jest obecnie zbyt silny i wszechobejmujący, aby dla niego ta kwestia była i mogła być obojętną. *W zeszłym roku przed tym jak miało być dokonane przetłumaczenie zwróciłem się do Ministerstwa Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego, w szczególności do Dyrektora Departamentu Wyznań p. Potockiego. Pan Dyrektor Potocki powiedział mi, że Ministerstwo zglasza w tej kwestii desinteressement.* Ja wówczas powiedziałem i dziś to z całym naciskiem podkreślam, że Rząd nie miał prawa zgłaszać w tej sprawie desinteressement. Cerkiew prawosławna jest jednym z organów Państwa i w interesie Państwa leży aby ten organ był zdrowy, nie był podważany i aby u nas na Kresach było współżycie, a nie wprowadzało się rozdźwięku między ludnością polską i białoruską. *Otóż jeszcze raz z tego miejsca pozwalam sobie zwrócić uwagę Pana Ministra Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego, że to jest sprawa o wiele więcej poważna, niż może zdawać się ludziom z za zielonego stolika, i że jeżeli jako rezultat tego posunięcia wbity będzie klin między oba społeczeństwa, to odpowiedzialność za to spadnie nie na kogo innego, tylko personalnie na p. Ministra Wyznań Religijnych.* A do Was, Wysoki Sejmie, i za Waszym pośrednictwem do całej opinii polskiej zwracam się z apelem, żebyście moje przedłożenie w tej sprawie przyjęli tak, jak je złożyłem — z całą szczerością.

*

Drukujemy w całości przemówienie posła G. Szymanowskiego. Nasi czytelnicy wyrobią sobie sami pogląd na bynajmniej nie błahą sprawę w tym przemówieniu poruszoną. Doskonały jest p. dyrektor Potocki, prawda? Tak przenikliwy i fachowy dyrektor Departamentu Wyznań powinien być wraz z swoim Departamentem przeniesiony do M. S. Wewn. Może tam począł by się interesować sprawami dosyć poważnymi. Zadajemy przy tym pytanie: czy w hierarchii zagadnień, które państwo ma do rozstrzygnięcia sprawa języka w cerkwi prawosławnej była istotnie tak bardzo pilna i dojrzała do rozwiązania? Czy nie mamy spraw pilniejszych, ważniejszych, bardziej żywotnych?

(Dokończenie ze str. 7-ej)

nasze życie społeczne wsteczną falą i podmywa fundamenty konstytucyjnie odbudowanego państwa".

Tyle na razie o książce i z książki p. Stahla, która nie wiele straciła na swej aktualności a godna jest przeczytania. Zawiera ona w swej części polemicznej („Młodzież, młodzi i frondy") wiele pierwszorzędnego i ciekawego materiału orientacyjnego. (232)

## Od Administracji

**Przypominamy Sz. Prenumeratorom konieczność odnowienia prenumeraty za miesiąc kwiecień i II kwartał.**

**Numery 1—17 Zaczynu wysyłamy po wpłaceniu na nasze konto czekowe w P. K. O. Nr. 25.544 kwoty 4 zł. 50 gr.**

**Zwracamy uwagę na obniżkę prenumeraty.**

Adres Redakcji i Administracji: **Warszawa 1, Al. Ujazdowskie 20 m. 7, tel. 7.11.97. Konto czekowe P. K. O. Nr. 25.544**

Numer pojedyńczy 30 gr. — prenumerata miesięczna 1 zł. — kwartalna w kraju 2 zł. 50 gr. — zagranicą 4 zł. 50 gr.

Redaktor odpowiedzialny i wydawca: **Leon Borkowski**

Godziny przyjęć redakcji: 5—6 we wtorki, czwartki i soboty. Administracja czynna codziennie 10—12 i 5—7.

Cennik ogłoszeń: za tekstem $^1/_1$ — 300 zł., $^1/_2$ — 160 zł., $^1/_4$ — 85 zł., $^1/_8$ — 45 zł., $^1/_{16}$ — 25 zł. Za wiersz milimetrowy — 70 gr Układ tabelaryczny 50% drożej.

Drukarnia Współczesna, Sp. z o. o., Warszawa, Szpitalna 10